

Nie jest dla nikogo tajemnicą, że do rzadkości należą sytuacje, w których widzowie walczą o bilety. Raczej to teatr właśnie zabiega o widza, o przyzwolnicie zapelnioną salę. Najpopularniejszą metodą jest sprowadzanie wycieczek, żołnierzy i uczniów.

Ważną metodą w batalii o widza jest oczywiście odpowiedni repertuar. Zmęczonemu codzienną bieganiną obywatela nie wywabi się byle czym z jego betonowej dziupli na odległym osiedlu. Na publiczność (dobrowolną) mogą liczyć praktycznie tylko spektakle lekkie, łatwe i przyjemne; ewentualnie trochę „duszoszczepiatelne”, o miłości, ale najlepiej — komedio-we obyczajówki. Nie dziwi mnie wcale, że teatry sięgają po taki repertuar. Zwłaszcza gdy rozrywkowa pozycja ma stanowić przeciwwagę do ambitnego (a więc niedochodowego) przedsięwzięcia. Grać można wszystko. Bo ostateczny efekt zależy przecież w dużej mierze od tego jak rzecz wykonano.

Michał Bałucki, urodzony przed 150 laty krakus, autor lekkich sztuczek stworzonych i chętnie grywanych z końcem ubiegłego wieku, w 1901

Z teatru

„Niewolnice z Pipidówki”

r. złamany świadomością mijającej popularności (na deski Teatru im. Słowackiego wkroczył właśnie Wyspiański) — popełnił samobójstwo.

Z czasem jednak sztuki jego powróciły na scenę (niektóre z nich, np. „Dom otwarty”, „Grube ryby” bywają na niej szczególnie często) i nie ma co się dziwić, bo ludzie lubią oglądać, a ściślej podglądać bliźnich. Lubią przy tym zauważać, że ci podglądani są od nich samych głupszi. Dlatego farsowe obyczajówki będą zawsze najpewniejszym magnesem przyciągającym do teatru.

Tadeusz Boy-Zeleński wielokrotnie pisał o Bałuckim i czyniąc to podkreślał tę prostą i oczywistą przyczynę „nieśmiertelności” autora m. in. popularnego wiersza „Góralu czy ci nie żal...”. Konstatował: „Publiczność zawsze była i jest skłonna do niewybrednej zabawy, a skłonna jest tym bardziej im bardziej ją

nasze teatry w tej skłonności utwierdzają i tym gustom patronują i błogosławią”.

I tu, jak sądzę zaczyna się kłopot. Rozumiem, jeśli kto chce (lub musi) latać kasą leśkim repertuarem. Ale dlaczego ta lata jest aż tak niegustowna? Słowem: dlaczego te straszne „Niewolnice”? W imię wskrzeszenia zapomnianej pozycji repertuarowej? To jeszcze nie wystarcza na pretekst, gdy „zapomniana pozycja” jest niemilosierdzie przegadaną i nieśmieszną ramotą. I gdy ramotę ową reżyser bierze za dobrą monetę, przedstawia bez żadnego cudzysłowu!

Patrzyłam z trwogą na postacie „dramatu”, powielające najgorsze szabiony amatorskiego teatru, jak wśród pisaków (panie) i szastania się po scenie (panowie) prowadziły między sobą dialogi pełne piaskich żartów. Cóż to za szastanki był pomysł przymuszać dobrych aktorów (p. Anno To-

maszewska, kto Panią widział w „Małym biesie”, temu trudno pogodzić się z tą metamorfozą...) do tak niesmacznej maskarady!

Celebrowanie taniej estetyki na deskach największej, reprezentacyjnej sceny krakowskiej nie jest rzeczą obojętną i bez znaczenia, bo stanowi automatyczne, uprawomocnienie kiczu. Utwierdza niewyrobioną publiczność (a taka będzie przede wszystkim chodzić na „Niewolnice”!) w przekonaniu, że ogląda prawdziwą sztukę, że taki ma być teatr. I to właśnie jest największe nieszczęście.

DOROTA KRZYWICKA

MICHAŁ BAŁUCKI — „NIEWOLNICE Z PIPIDÓWKI”, reżyseria — Zbigniew Bogdański, scenografia — Aleksandra Sell-Walter, opr. muzyczne — Bolesław Rawski; aktorzy: L. Kubanek, M. Świętoniowska, S. Rokita, A. Tomaszewska, J. Sagan, A. Sokołowska, M. Cebulski, M. Nowotarska, I. Omąkowska, T. Międzik, I. Szramowska, H. Kurpanik, K. Hanzel, H. Zaczek, J. Barań-Filarowska, I. Paustuszek, Premiera — Teatr im. J. Słowackiego, 29 listopada 1986.